Nr. 36. We Lwowie dnia 4. Września 1898. Rok 6.

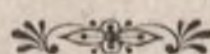
TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Na Kaukazie.

Ze wspomnień starego żołnierza.



Bili się jak djabły!

Od dziesięciu dni staliśmy w przeklętym tym wąwozie, nie mogąc zdobyć skalnego gniazda, które zawisło nad nim w powietrzu prawie, i broniło przejścia w głąb kraju.

Zaraz pierwszego dnia pchnięto nas z dwóch stron do szturmu. Cofnęliśmy się przed gradem nie kamieni już, ale olbrzymich złomów skalnych, które leciały na nas niby gniew boży, gniotąc i rozpłaszczając ludzi.

Po tej pierwszej próbie pułkownik nasz zarządził formalne oblężenie. Będąc przekonanym, że ta górska osada nie mieści w sobie żadnych zapasów żywności, poobsadzał wojskiem wszystkie ścieżyny, wszystkie przejścia łączące ją ze światem. Obsaczoną dokoła chciał wziąść głodem. Nam kazano kryć się poza skałami, z bronią w pogotowiu i strzelać do każdego, ktoby ośmielił się wychylić głowę.

Polakowi kazano strzelać do Gruzina, obrońcy swobód ojczystych! Chybialiśmy stale.

Pewnego razu, na samym wierzchołku góry dostrzegliśmy wysoką, pięknej postawy kobietę, a przed nią dwóch małych chłopców. Szła ponad samym brzegiem przepaści, ścieżyną, którą chyba djabeł wydeptał.

Iwan Wasiljewicz, nasz dowódca rotny wziął ją na cel, strzelił, i chybił. Pal! krzyknął na mnie. I mierzyłem o pół cala w lewo. Kula świsnęła jej koło głowy; ona nie drgnęła nawet, tylko zaganiała prędzej biegnące przed nią chłopięta. Po chwili dopiero odwróciła ku nam twarz. Zdaleka nie mogłem widzieć jej dokładnie, ale zdawało mi się, że oczy jej świecą jak dwie głownie. Dotąd widzę ją pośród skał prostą, wyniosłą i doprawdy jakąś straszną. Zauważyłem ją już podczas szturmu. Biła się wściekle. Oh ta kobieta: Nocami śniła mi się — jej profil orli, i jej czarne, głębokie, nienawiścią piekielną gorejące oczy! Choć przez parę chwil jeszcze widać ją było wyraźnie, nim zniknęła poza skałami, nikt już nie śmiał, czy nie chciał strzelać do niej.

Pokazałem ją Henrykowi Ostaszewskiemu, młodemu koledze, którego niedawno przysłano nam z kraju. Potem często rozmawialiśmy z nim o niej, bo jasnowłosy, cichy chłopiec zakochał się chyba w tej dzikiej djablicy. Ukryty między skałami przez dzień cały czatował — starsi nasi myśleli że na Gruzinów — ja jeden wiedziałem, że na nią. Ale nie ukazała się już więcej. Za to górale oceniwszy odpowiednio wartość naszej strzelaniny, coraz śmielej występowali ze swoich kryjówek. Raz poraz celny jakiś strzał z niewidzialnej wyrzucony broni sprzątał to oficera, to sołdata. Żołnierz moskiewski zaczynał przejmować się zabobonną obawą, i znak krzyża kładł co chwila na szerokiej swej piersi.

Ostaszewski udawał, że pojawiających się co raz częściej łbów gruzińskich nie dostrzega. Dziwny to był chłopiec! Małomówny, skryty nie zwierzył nam się dotąd, za co go zesłano, nie powiedział słówka o swojej rodzinie, a znać było, że pożera go tęsknota. W bój rzucał się z dziwną namiętnością. Myślę, że szukał śmierci. Marzącemi oczyma lubił wpatrywać się w dal, w wolnych chwilach grywał na trąbce niewymownie smutne melodje. Za tę muzykę lubiono go powszechnie. Starszyzna nawet słuchała jej chętnie, a w pochodzie kazano mu grywać marsze.

Po sześciu dniach oblężenia pułkownik nasz, gwałtownik i fantasta stracił cierpliwość. Dwa razy dziennie słał nas do szturmu. Zawsze daremnie! Po złomach skalnych z karabinem w ręku żołnierz piął się pod górę i cofał przed zaciekłą obroną oblężonych. Strącani w dół, zarzuceni kamieniami żołnierze padali, jak muchy. Biedne mózgi sołdackie splamione krwią walały sobą ściany i skalne dno wąwozu. Pozycja była prawie niemożliwa do zdobycia. Należało chyba atakować ją ze wszystkich stron jednocześnie, a na

to mieli Rosjanie zamało siły. Ale pułkownik rozwściekł się. Dziesiątego dnia posłał po posiłki. W nocy przyprowadzono mu trzy bataljony piechoty i nazajutrz nastąpić miał szturm ostateczny, gniazdo djabelskie, jak nazywaliśmy gruzińską forteczkę, miało być zrównane z ziemią.

O świcie zbudzono nas. Nim słońce weszło, staliśmy pod bronią.

Góry dnia tego osłaniała mgła napół przeźroczysta, w stronie wschodowej rozpalały się czerwone światła zorzy.

Staliśmy, czekając rozkazu.

Mgły opadały powoli, z białych ich osłon wynurzały się stopniowo strome, urwiste szczyty. Już najwyższy, nagi cypel stał przed nami skąpany w liliowych, przeczystych tonach powietrznych. Nagle padł pierwszy promień słońca i poświatą złocistą okrył skały i lasy.

Dziki przepiękny świat witał nas uroczyście o zaraniu ostatniego dnia swobody swojej. Pułkownik dał znak Ostaszewskiemu, ten trąbkę do ust przyłożył, zwrócił się ku obleganej osadzie, twarz mu pojaśniała, i zagrał... „Jeszcze Polska“...

W porannej ciszy płynęła święta wolności pieśń, i odbijała się echem o skały Kaukazu. Góry podawały ją górom, niosły dalej, dalej...

Wreszcie ucichła.

Spojrzałem po oficerach rosyjskich.

Pułkownik był blady, usta drgały mu nerwowo, u wąsów wisiała przejrzysta kropla, może osadził ją szron...

Po twarzy majora Kosienki, Ukraińca strumieniem lały się łzy. Nasi szlochali głośno.

Poszliśmy do szturmu.

Henryk biegł pierwszy, ale karabin odrzucił precz, i otwarłszy ramiona leciał ku tym dzikim obrońcom wolności, ku tym bohaterom którym w przedzgonnej ich chwili podał komunikant — piosenkę powstańczą.... Kamień zręczną wyrzucony ręką, ugodził go w skroń. Krew jasna młodzieńcza zalała mu twarz — widziałem, jak padał...

Po ciele jego czerń moskiewska z wrzaskiem i wyciem darła się ku górze. —

Helena Sokolnicka.

3)

„Pan Tadeusz Mickiewicza jako Epos.“

IV.

Stosunek poety do wspomnień przeszłości, jest jednym z głównych rysów podobieństwa „Pana Tadeusza“ do epopei pierwotnych. Mickiewicz utrwalił na wieczne czasu wizerunek pokoleń, które żyły wśród dawnego ustroju, ukazał ostatnie porywy fantazji rycerskiej, tego rozbujałego indywidualizmu, który rozsadził wiązadła dawnej budowy politycznej Polski. Zarzucał mu wprawdzie Witwicki, że nie stworzył poezji w wielkim stylu, że pokazał Polskę „od szarego końca“ w taratatce folwarcznej i zaściankowej, ale Witwicki nie rozumiał logiki wielkiego talentu. Tak samo Niemcewicz pragnął, aby autor „Dziadów“ opiewał czyny bohaterskie ziomków podczas wojny 1831 r. Podobne żądania stawia czasem krytyka, nie rozumiejąc, że prawdziwa wielka sztuka nie może powstać, gdy artyści podejmują temata im narzucone, których nie odczuli i nie przetrawili we własnem wnętrzu. W arcydziełach peezji opartych na gruncie realnym, jak „Pan Tadeusz“, posługiwanie się materjałem wrażeń rzeczywistych, bezpośrednio odczutych, jest ważnem, jak użycie dobrej przędzy jedwabnej dla utkania trwałej materji.

Wbrew zdaniu Witwickiego, słusznie twierdzi prof. Kallenbach, że Mickiewicz w wyborze tematu dał dowód wielkiej bystrości, albowiem „uchwycił ostatnie szczątki tej ogromnej, szarej masy szlacheckiej, która była zarazem szarą korą mózgu narodowego i w ubiegłych wiekach nadała świadomie niestarte piękno indywidualności polskiej“.

Zabawnie też na podstawie pierwszego wiersza w „Panu Tadeuszu“ oskarżał Witwicki Mickiewicza o prowincjonalizm, który był dla poety ważnym czynnikiem ale tylko literackim. Wojując z recenzentami Warszawskimi, nazwał się Mickiewicz, z odcieniem ironicznej pokory „prowincjonalnym pisarzem“, chociaż czuł, że nietylko talentem, ale i wiedzą literacką góruje nad całą rzeszą Iksów stołecznych. Do końca życia podobno mówił z lekkim akcentem. Widać to zresztą w paru rymach poematu, np. gdy Wojski opowiada o przypadku na polowaniu, który:

„zdarzył się największym mistrzom naszych czasów,
Posłowi Rejtanowi i księciu Denasow.“

Albo też we wzmiance o wielkich czynach Napoleona, boga wojny, co:

„Od puszcz libijskich latał do Alpów podniebnych,
Ciskając grom po gromie w piramidy w Tabor,
W Marengo, w Ulm, w Austerlitz. Zwycięstwo i zabór
Biegły przed nim i za nim....

A najbardziej to widać w jednem przemówieniu podczas rady:

„Panie Buchman, waścina rzecz bardzo wymowna,
Ale wymowa, szum, drum, kropić, to rzecz główna.

W tych miejscach znać, że poeta wymawiał O kreskowane wedle djalektu miejscowego, jakby było otwartem.

Pamiętam ten sam lekko prowincjonalny odcień w głosie Odyńca, gdy na jednem zebraniu przed kilkunastu latu, deklamował z wzniesionymi do góry oczyma, wiersz Mickiewicza „Rozum i wiara“:

„Panie mą pychę duch pokory wzniecił,
Choć górnie błyszczę na niebios błękicie,
Panie jam blaskiem nie swoim zaświecił,
Mój blask jest słabe twych ogniów odbicie.“

Sędziwy poeta przeciągał wtedy, a końcówka w wyrazie ogniów brzmiała otwarcie po litewsku.

Wielki mistrz Odyńca, zarówno jak inni wybitniejsi pisarze tej grupy, zawdzięczają swą oryginalność w znacznej części właśnie temu sympatycznemu prowincjonalizmowi, który ani na chwilę u Mickiewicza nie stanął w poprzek szerszym uczuciom oraz ideałom. Kochali oni pamiątki, obyczaje, naturę okolic, w których wyrośli, a to właśnie stanowiło żywą siłę ich poezji, która odrywając się od rodzinnego gruntu, nie opierając się na wrażeniach rzeczywistych i uczuciach szczerych, tak często wpada w mglistość, lub staje się igraszką formy. Przecież i Homer tworzył w djalekcie staro jońskim, a poematy jego zostały księgami świętymi dla całej Hellady.

Mickiewicz czuł głęboko wartość rodzinnej tradycji, która przechowuje drobne nawet pulsacje wewnętrznego życia, rysy osobiste i obyczajowe, ginące w urzędowych dokumentach, lub opowieści dziejopisów.

Zresztą poezja zostawia zwykle na boku wielkich ludzi i największe wypadki. Szuka ona przedmiotów i figur, otoczonych urokiem tajemniczości. Ucieka od historji, ale słucha chętnie co jej szepcze do ucha legenda, ta rozkoszna bajczarka, pamiętająca świtanie „jutrzenek mlecznych“ w życiu narodów. Na bohaterów tragedji lub eposu, nie wybiera się takich mocarzy jak: Aleksander Macedoński, Cezar, Karol Wielki lub Napoleon, ale władców mniej głośnych, jak: Ryszard III., Marja Stuart, małych królików i książąt i wodzów, jak: Hektor, Achilles, Odysseusz, Lear, Popiel, Makbet i Hamlet, Korjolan, Wallenstein i Fiesco. Albo też postacie jak: Otello i Romeo, Manfred, niemające żadnej historycznej rangi.

Największe figury dziejowe w poematach kurczą się zwykle i maleją, jak np. Cezar w tragedji Szekspira, albo Attylla w „Pieśni o Nibelungach“, obaj bardzo mali i niepokaźni, tak, że chcąc pojąć ich prawdziwą wielkość trzeba rzucić w kąt literaturę nadobną, a wziąść do ręki Momsena lub Amodeusza Thierry. Poeci omijają olbrzymów dziejowych, lekceważą często prawdę historyczną, (nawet lekkomyślnie jak to zrobił Szyller,) ponieważ nie są referentami życia ludzkiego, ale tworzą jakby ciąg jego dalszy. Dają obrazy światów zmyślonych, które jednak wierniej czasem, niż kroniki lub dzieła historyczne odbijają wewnętrzną prawdę rzeszy i duszy człowieczej.

Nic więc dziwnego, że Mickiewicz znalazł wątek bohaterski i dla swego poematu nie w historji wielkich bitew napoleońskich, ale w opisie czynów nadzwyczajnych jakiegoś szlachcica, który w województwie Nowogrodzkiem około 1807 roku pobił na zajeździe cały garnizon i dowódcę jego wziął do niewoli[2]).

Zajazdy jako sposoby egzekucji wyroków Trybunalskich, za pomocą gromady zbrojnych adherentów — zdarzały się jak wiadomo zwłaszcza w ostatnich latach istnienia dawnej Rzeczypospolitej — świadczą o wielkiej słabości władzy wykonawczej. Były to zwyczajem uświęcone akty swawoli, podszywającej się pod pozory prawa. Tak samo zajazd szlachty na dwór Soplicowski w „Panu Tadeuszu“ jest wynikiem rozbujałego indywidualizmu, oraz prywaty dla osobistych nienawiści, igrającej lekkomyślnie ze sprawą publiczną.

Podobnież walka szlachty z wojskiem rosyjskiem rozpoczęta w sposób szalony, prowadzona była z męstwem, dzielnością, ale bez żadnego ładu i komendy.

Wobec wspólnego niebezpieczeństwa szlachta zapomniała o swarach domowych, biła się razem po bohatersku, ale to poczucie solidarności nie mogło jeszcze skupić sił wszystkich pod kierunek jednej górującej woli. Każda jednostka działała na własną rękę, miała fantazje i rozprężliwość gazu, którego atomów nie trzymają w spójni ściany zbiornika.

W tych epizodach oraz w opisie wielkiej Rady odbytej w Zaścianku, poeta przedstawił wybornie szczątkowe cechy ustroju społecznego, który zginął nazawsze chociaż przetrwały jeszcze związane z nim rysy charakteru narodowego. Stojąc na progu nowych czasów Mickiewicz przekazał potomności, równie jak wielcy epicy obrazy epok minionych, niepowrotnie zamkniętych. Tak samo z epopei homerowych Grecy starożytni poznawali życie wewnętrzne swych pradziadów, w epoce gdy obyczaje były barbaryńskie, gdy ustrój społeczny polegał na patrjarchalnym stosunku króla do gromady, gdy instytucje polityczne i rządowe nie miały wyro-

[1]) Wydanie Warszawskie 1888 r. t. III. ks. V. str. 149. Ks. I. str. 36., ks. VII. str. 191.

[2]) Patrz: Kallenbach, cytowane wyżej dzieło tom II. str. 126 i następne.

bionych form, a w życiu domowem kobieta cieszyła się pewnym stopniem samodzielności i swobody, którą potem straciła zamknięta pół niewolniczo w gineceum, zapewne wskutek wpływu obyczajów wschodnich.

Pan Habura, zestawiając poemat Mickiewicza z „Iliadą“ w rozprawie pełnej sądów mętnych i naciąganych do tezy z góry postawionej, robi jednak trafną uwagę, że Homer przedstawił swój naród w chwili młodości, gdy bohaterowie na własną rękę działać zaczynali, tymczasem nasz poeta ukazał naród w epoce sędziwości, w chwili zejścia z widowni politycznej i ten pochód do grobu całego pokolenia odmalował wspaniale[1]). Porównanie to jest słuszne, o ile tyczy zamknięcia okresu politycznego życia Polski szlacheckiej, ale katastrofa polityczna nie idzie w parze bynajmniej z wyczerpaniem się rasy posiadającej do dziś dnia żywiołową siłę, jak tego najlepiej dowodzi statystyka. Mickiewicz nie chciał przedstawić schyłku życia narodu, ale uchwycił chwilę szczęścia i nadziei, która oświecała właśnie zmrok dawnej a zaranie nowej epoki, a sam pan Habura przyznaje, że w ostatnich scenach epopei, poeta zwrócił się do przeszłości.

Epopeje indyjskie nie są tak wiernem i praktycznem odtworzeniem prawdy jak Homerowskie, pierwiastek legendowy góruje w nich nad realnym, fantazja jednym skokiem przebywa przestrzeń dzielącą ziemię od nieba. Jednakże poematy te są odbiciem pierwotnego wojowniczego stanu indusów; bohaterstwo łączy się w nich z ascetycznym nastrojem moralności teologji bramińskiej, która przed epoką buddyzmu świeżo ugruntowała swą potęgę.

W „Pieśni o Niebelungach“ legenda, zmieniając dowolnie fakty dziejowe, przedstawia świetność rycerstwa i odbija charakter epoki przejściowej, gdy resztki ducha pogańskiego pokutowały w formach chrześcijańskich, a ludzie zachowali jeszcze okrucieństwo, oraz nieokiełzane namiętności bohaterów i półbogów mitycznych.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Józef Kotarbiński.



Komissja śledcza warszawska z r. 1863.

5) (Wyjątek z pamiętnika.)

Rozbudzony po nocy towarzysz z tego niezdarnego monologu dowiedział się jednak o wszystkiem i poznał i treść sprawy i punkta sporne i stopień winy towarzysza, a nakoniec środki obrony biedaka. Te ostatnie pod względem naiwności arkadyjskiej, tak dalece nic do życzenia niepozostawiały, że istotnie dosyć ich było użyć, aby się zgubić bezpowrotnie. Był to wyraźnie ostatni elaborat tej niedołężnej głowy, który przy pierwszem badaniu miał być zastosowany.

Czasu do stracenia niebyło. Niebezpieczeństwo było zbyt wielkie, aby skrupułów co do nienarzucania się z radami i innych tym podobnych konwenansów, w więzieniu zresztą najmniej właściwych, przeważyć nie miało. Trzeba było niedołęgę rozbudzić i przy świetle lojówki tlącej się w kraszoarze, wylać mu resztę zimnej wody z butelki, aby tym sposobem komórki przenikliwości jako tako odsklepić. Nawet ranka się doczekać nie było bezpiecznie, bo zanim by mu się wytłumaczyło o co chodzi, zanim by on się zdążył nadziwować zkąd tamten to wszystko wie, a potem dopiero zanimby się wywiodły wnioski i jakiś odpowiedniejszy system obrony w głowę wbić pozwolił, mógł tamten do komissji być zawołanym, a gdyby się tam zaczął popisywać z tem co wysmarzył — niedaleko by zajechał, a raczej zajechałby zanadto daleko, czyli tam gdzie bądź co bądź jechać żaden nie miał ochoty.

Po rozbudzeniu biedaka, przedstawieniu mu całej jego sprawy, tak jak ona domyślnie prezentowała się przymuszonemu, a mimowolnemu konfidentowi, przyszła pora na konkluzję. Ta ostatnia stanowiła część najtrudniejszą. Przeróżnych, bo dróg przekonania wyszukiwać było trzeba, aby mu jego tak mozolnie wzniesione rusztowanie obrony obalić, poprzednio wszystkie jego słabe strony wykazawszy.

Nakoniec udało się. Rezultatem ostatecznym było, że tak jak dotąd nieszczęśliwy R. był w sobie zamknięty i nieufny, tak teraz duszą i ciałem oddał się w opiekę towarzyszowi. Ostatecznie postanowiono, aby zamknąć się w systemie bezwarunkowego zaprzeczenia, bo tam gdzie niby w formie koncesji chciał R. pofolgować Zacharewowi i przyznać się do winy częściowo, tam był węzeł sytuacji, czyli inaczej matnia w którą chciał go przebiegły lis zapędzić. Jakoś tego dnia niezawołano R. do śledztwa miał więc czas wszystkie dodatnie strony nowego planu ocenić, a był

[1]) Fr. Habura „Pan Tadeusz a Iliada“ Kraków, nakładem autora 1878 r.

swoją drogą dosyć upartym na to, żeby zaraz przyczepiwszy się do myśli jakiejś, trzymać się jej jak pijany płotu.

Zaczęto go znowu coraz częściej i coraz na dłużej wołać do komissji i przychodził spracowany strasznie ale z dobrą otuchą, którą tym razem i doradca jego podzielał. Tak minęło z jakie dwa tygodnie znowu. W ciagu tego czasu przyszły i na doradcę jego kłopoty osobiste, a nowe, bo jedna sprawa wyrastała z drugiej, ale że mu ani na animuszu, ani na przytomności niezbywało, więc miał czas dla obydwóch. Jedno tylko niepokoiło go, żeby tej słabizny od niego nie zabrali, bo był uparty, ale był i słaby i zachwiać mógł się bardzo łatwo. Jakoś tylko coraz bardziej narzekał R. na Zacharewa, że coraz gorzej go traktuje, że coraz więcej grozi i że mu ostatnim razem mówił, że teraz już nie idzie o jego przyznanie się, bo sprawa tak czy owak w przyszłym tygodniu idzie pod sąd wojenny. »Bądź spokojny powtarzał mu towarzysz, który przecież wiedział, że kiedy grożą i gniewają się to znaczy że zadowoleni nie są, a kiedy folgują i pobłażają to samo się rozumie z siebie, że co chcieli to już i zrobili.

Jednego ranka zawezwano i samego instruktora do śledztwa; R. pozostał w celi. W gabinecie niezastał inkwirenta więc żandarm wpuścił go tam drzwi niedomknąwszy co się dosyć często zdarzało. Ciekawość więźnia nieomieszka z każdej sposobności skorzystać; jakże się mu zdziwić przyszło kiedy w parę minut ujrzał prowadzonego do komissji R. Drzwi Zacharewa były wprost tych za któremi stał sam wązkim tylko kurytarzem przedzielone. Aj! gdyby tak tamtych niedomknięto, a ten który ma nadejść spóźnił się trochę, toby można i usłyszeć jak ten z odbieranych lekcji korzysta. Stało się tym razem w myśl życzeń jednego z takich, którym w życiu nic się wedle ich woli nie dzieje. Drzwi Zacharewa pozostały nie tylko wpółotwarte, ale tak szeroko rozwarte że dosyć było się przybliżyć żeby i słowa usłyszeć i aktorów w najdrobniejszych, szczegółach podpatrzeć. Zaczęła się tedy scena jedna z tych, o których się całe życie nie zapomina, bo one naturę ludzką tak potworną odmalują, że nie zaraz może spektator taki zdać sobie sprawę czy to na jawie się dzieje, czy to sen tylko.

Panie R. »zaczął Zacharew melancholijnie oto i dwa miesiące dobiega do końca jak męczymy się obydwa. Pan ucierpiałeś bardzo, boć to przecie każdy kto go widział jak tu wchodziłeś, a zobaczy Cię jakim jesteś dzisiaj, różnicę musi przyznać ogromną, ale i ja sobie także przez pana zdrowia nie poprawiłem. Nie będę panu dowodził, że się tak udręczam położeniem pańskiem, bo tego przecież żądać nie masz prawa, żeby się można dać zamęczać za człowieka, którego się przedtem niewidziało nigdy no..... ależ ludźmi jesteśmy wszyscy. I to powiem panu, że patrzeć na kogoś, kto przy obowiązkach, jakie ma, tak sobie własnowolnie, sobie i dzieciom swoim grób kopie, jak pan, należy podług mnie do wielkich przykrości. przynajmniej nie zarzucisz mi pan tego, żebym nie zrobił wszystkiego co było w moich siłach, aby go skłonić do ulżenia położeniu własnemu o tyle, o ile się da, przedstawiałem że tak czy inaczej sprawa się kończy i do sądu lada dzień odesłaną być musi i że wobec tego sądu wolno panu figurować w jednym z dwóch charakterów, albo winowajcy całkowitego, który sobie uroił że stanowcze zapieranie się wystarcza do tego, żeby wolność odzyskać, a znaczy to dla tego sądu winowajcę niepoprawnego a tem samem najgodniejszego kary, albo nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności wplątanego, który tylko tyle winien że był nierozważnym w najwyższym stopniu«.

Tu rzucił pełne spółczucia spojrzenie, a tak doskonale było to odegrane, że nie tylko sam R. tak gapowaty jak on był mógł się dać wziąść na ten lep, ale i sam jego towarzysz patrzący z poza drzwi skonsternowany zaczynał się pytać siebie co to znaczy i do czego ten zmierza z tą całą tyradą. Popatrzył on na na R. i zatrwożył się niezmiernie. Przyciśnięty widać do ściany milczał i ocierał czoło chustką Tą wywołaną transpiracją uradował się widać mowca, bo w tym samym tonie ciągnął dalej.

»Właśnie to ostatnie doradzałem panu i pomimo że nietylko nie należy to do moich obowiązków, ale jeśli mamy mówić szczerze jest im wprost przeciwne, to ostatnie wybrałem dla pana jako jedyny możliwy punkt wyjścia. Nie żądałem przecież, żebyś mi pan wierzył, bo tu jest miejsce, gdzie wy nikomu nie wierzycie i w tem słuszności wam odmówić niepodobna, ale wskazywałem panu kodeks karny obowiązujący tak dobrze w cytadeli, jak w każdym innym sądzie i objaśniałem odpowiedzialność z §§. X. X. i n. n. za mimowolne uczestniczenie w spełnieniu czynu występnego. Wszystko daremnie!

Przed pół godziną właśnie zawołał mnie jenerał i nakazał tę część sprawy która jest w moim referacie dołączyć do akt które pojutrze mają być deponowane sądowi. Jeszcze raz przyszedłeś mi pan na myśl i choć mię to naraziło, prosiłem jenerała, aby pozwolił jeszcze raz pana wezwać do rozsądku. Powiedziałem w imieniu Pana, że się namyślisz prawdopodobnie. Odpowiedział: »Niechże się namyśla ale nie dłużej jak przez jutro«.

»A teraz panie, żebyś mię źle nie wspominał, żebyś mi nie złorzeczył za los rodziny twojej, pomyśl co wolisz: jakie kilkanaście lat

robót ciężkich, czy jakieś w najgorszym razie parę miesięcy więzienia w Modlinie? Do woli!«

R. przestał się już nawet obcierać, sapał tylko i wodził oczami. Strach zaczynał ogarniać tego co mu się z po za drzwi sąsiedniej przypatrywał, bo wyraźnie wysiłki woli były na skonaniu. Szło o to czy był w pewnej miejscowości w drugie święto Zielonych świątek. W Zacharewie otucha wzrastała, to też nie dając mu ochłonąć z wrażenia nacierał.

— „Byłeś pan w Z?«

R. zbierał resztę sił. Po chwili chrapliwie odpowiedział:

— »Nie".

— »W imieniu biednych dzieci pana?«

— »Nie«.

— »Człowieku bez rozsądku czy bez sumienia, bo już sam nie wiem, słuchajże mnie. Przed miesiącem pochowałem matkę, którą kochałem nadewszystko, na jej pamięć klnę ci się że pragnę tylko ocalenia twego. Czy znasz człowieka, co by kłamał po zaklęciu podobnem? Nie bądźże szalonym«.

R. widocznie oszalał w samej rzeczy, bo z jego charakterem słabym, a przekonaniami uczciwemi nia należało się wahać. Z uporem straconego i doprowadzonego do rozpaczy, czy wreszcie niewiedząc sam co mówi powtórzył jeszcze raz.

— »Nie«.

Zacharew usiadł, wydobył kartkę z biórka, dał ją w rękę oszołomionemu, który go nawet nie pytał co to znaczy i wyszedłszy za drzwi zawołał żandarma.

— »Otwiedi na miesto!«

Kiedy po godzinie załatwiwszy swoją sprawę w komissji powrócił towarzysz zaniepokojony co do losu R., zastał go w szalonej radości. Zdaleka pokazywał kartkę temu, który podglądał całą scenę, ale kartki nie czytał, więc i zagadki rozwiązać sobie nie umiał.

Kartka było to uwolnienie.

Dostał ją od jenerała z rozkazem, aby ją uwolnionemu wręczyć. Zanim wykonał co kazano, dołożył wszelkich sił, wypróbował wszystkich sposobów, czyby ocalonego zgubić jeszcze nie można. Odwoływał się do uczuć zrozpaczonego, profanował własne, wszystko dla tego jedynie, żeby osięgnąć.... Co? Zagładę człowieka.

Za długo rozpisaliśmy się o jednym wyrzutku, ale raz, że ab uno disce omnes, a potem, że nie tak łatwo zapomni, kto widział.

(D. c. n.)



Lili.

ŻAŁOSNA IDYLLA

przez

Władysława St. Reymonta.

(Ciąg dalszy.)

— Żoną moją, panią moją kochaną!— odpowiedział trochę już zniecierpliwiony.

— Masz siostry i pewnie bardzo wykształcone?

— Mam.

— Twoi rodzice, to wielcy państwo. Pamiętam ten wasz pałac; byłam tam u was z benefisem, z Korczewskim.

— Ale to nie pałac, zwykły dwór, a moi rodzice bardzo dobrzy ludzie

— Ty jesteś także wielki pan, nieprawdaż?

— Nie mów tak, jestem przedewszystkiem twój.

— I bardzo mi dziwno, że kochasz mnie, że nie wstydzisz się kochać jakąś biedną, nieznaną dziewczynę.

— Lili jest bęben, cicho! — zawołał, chcąc jej przerwać.

Ale ona nie roześmiała się, tylko snuła dalej nieubłaganie jakąś myśl, którą po raz pierwszy odczuła.

— Kochasz mnie bardzo? — zapytała biorąc go za ręce.

— Nad życie.

— A długo będziesz kochał?

— Lili, na Boga, po co te pytania? — zawołał rozdrażniony i coraz bardziej niespokojny.

— Długo będziesz kochać, odpowiedz?— pytała nieubłaganie.

— Do śmierci, dziecko moje, całe życie.

— Jak Dżalma w »Tułaczu«? Jak Zbigniew Amelję w »Mazepie«? Jak »Książę Precyoze«?

— Nie, nie tak jedyna, bo tysiąc razy silniej i wierniej.

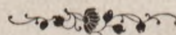
— Dobrze, dobrze! Ale, pamiętasz, jak jeździliśmy w Wieluniu z benefisem?

— Pamiętam, ale cóż to ma do naszej miłości?

— Zaczekaj. Pamiętasz ten dwór, gdzie nas zaproszono na obiad? Nie umiałem chodzić po posadce, zaplątałam się w dywan, jadłam ryby łyżką — śmiałeś się potem ze mnie. A jak oni patrzyli na mnie, pamiętasz? Jaśnie pani posadziła przy mnie guwernantkę, bo się wstydziła siedzieć przy aktorce. Córki nie jadły obiadu z nami, chociaż były w drugim pokoju, pamiętasz? A jak patrzyli na mnie, w jaki sposób mówiła ze mną. ta pani! Ja to pamiętam.

— Zdaje ci się, Lili, tak znowu nie było! — tłumaczył jej, zmieszany.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



6)

ZAJĄC.

POWIEŚĆ

przez

Adolfa Dygasińskiego.

Dumny ze swojej rodziny, zamknięty zupełnie w rodzinnem samolubstwie, zbliżał się do ludzi o tyle, o ile to obiecywało jakieś korzyści dla jego domu. Miłość nakłada obowiązki, domaga się czynów; on też zaspokajał potrzeby życiowe tych, którym dał i samo życie. Przyjmowano to od niego tak, jak gdyby inaczej być nie mogło, a wymagano coraz więcej. Co zarobił, co oszczędził, wydarł innym, ukradł — wszystko niósł na łono rodziny, na swój jedyny ołtarz. Rzadko kiedy miał tę pociechę, że zupełnie zadowolił życzenia. Bo gdyby nawet nic w domu nie brakło, to zawsze jeszcze obiło się o jego uszy jakieś pragnienie ptasiego mleka: „Oh, gdybym ja miała fortepian!...“ Niestety, na fortepian nie mógł się zdobyć! Ale chleb mieli, dostatek mięsa: zające, sarninę, kuropatwy, dzikie kaczki; tylko dla niego zbrakło niekiedy. I przez zimę ciepło im było w domu, choć on nieraz dobrze wymarzł, zastawiając wnyki na zające, albo ścinając drzewo w cudzym lesie. Bez mięsa i w zimnej izbie Marysia nigdyby tak nie wypiękniała.

Łatwo zrozumieć, dlaczego Tetera zbliżył się do brata Malwy, strzelca i strażnika pewnej części lasu morzelańskiego. W Malwiczach, wśród sąsiadów, nie miał ani jednego przyjaciela.

— Byle się dotknął człowieka, już go orznął, kręt, cygan — mówiono o Teterze.

Ale i rodzina mu się nie wywdzięczała za to, co dla niej robił. Matka i dzieci ciągle były w zmowie na niego, i jeśli czegoś w domu nie było, dawały się słyszeć:

— „Co sobie ten stary myśli?“ — „Trzeba wsiąść na starego!—„Od czego ten stary jest ojcem?“

A niechnoby on kiedy mocniej podniósł głos, palec na które zakrzywił!

— Ho, ho, my sobie tu nie damy ciosać kołków na głowie!

Czasem tylko dopadł na osobności Franka, piętnastoletniego urwisa i zepsuł mu rzetelnie skórę, a przytem zapowiedział:

— Jeśli słówko piśniesz matce, to trzy razy tyle dostaniesz!

Franek też o takich zajściach z ojcem nic nie wspominał, ale przed matką i Marynią ogromnie podwodził zawsze na starego. Flora bo zupełnie otwarcie, przy dzieciach, powstawała na męża, nazywała go gamoniem, próżniakiem, do niczego.

— Obrotny człowiek, zabiegliwy, nie ścierpiałby tego, żeby jego żonie, dzieciom, na wszystkiem zbywało.

Tetera wierzył, że jest próżniak i niezabiegliwy, obmyślał sposoby, ażeby jego żonie, dzieciom, na niczem nie zbywało. Pomimo całej cierpliwości i wyrozumiałości, wezbrała niekiedy w nim gorycz i wtedy pudłował.

Bywało, na późnej jesieni wiatr szalony wyje, deszcz tnie taki, co go to widać, jak pędzi po polach i długiemi biczami ostrą chłostę wymierza ziemi, a Tetera przygarbiony, ze strzelbą pod kapotą, dyma w pola, lasy. Zimowe słoty, zawieruchy, twarde mrozy, także niczem dla niego były.

Jeżeli Flora spostrzegła, że w duszy starego zarzy się iskierka buntu, umiała to szybko i łatwym sposobem zażegnać, mówiąc naprzykład:

— „Zrzuć-no, stary, kapotę!... Tereniu, weź igłę, powstawiaj łaty!“ Dbali o niego i zaraz się udobruchał. Czasem znowu Marynia na głos co przeczytała, to słuchał, a głównie w nią wtedy wpatrywał się, jak w obraz. Nigdy jednak żadna z tych dziewczyn nie obdarzyła starego pocałunkiem.

Raz w zimie wrócił do domu nad ranem bardzo osłabiony, zdźwigał się drzewem. A tu ani Flora ani dzieci nie przypuszczały, ażeby stary mógł chorować; dotąd one tylko miały przywilej wylegiwania się w łóżku. Tymczasem dzisiaj Tetera padł na łoże jak kłoda ku niemałemu zdziwieniu i zgorszeniu wszystkich.

— Stary chce się wyleżeć! — poszeptywał Franek siostrom na ucho.

W izbie rozlegały się głośne rozmowy, śmiechy; Marynia śpiewała nawet.

Stary usnął, spał przez cały dzień, a pod wieczór zaczął bredzić w gorączce. Podczas nocy kilka razy wołał pić; ale nikt się nie odezwał i stary nareszcie usnął, spał do rana. Rano otwarł swoje jedno oko, zdawało mu się. że żona i dzieci niepokoją się o niego, a sumienie robiło mu ciężkie wyrzuty: — Ja sobie leżę, a tu w domu wszystkiego brakuje! — Chciał wstać; siły go opuściły i znowu padł na łoże.

— Florciu! — rzekł cichym głosem i powtórzył: Florciu!

— Czegoż tam? — spytała żona półgębkiem.

— Ból w piersiach, ogromny zawrót w głowie — odrzekł, stękając.

— Mamo, trzeba posłać po Chyleckiego! — odezwała się Marynia, czesząc włosy przed zwierciadełkiem; potem zwróciła się do sióstr:

— Jadziu, Tereniu, zróbcie porządek jaki, posprzątajcie! Nie można przyjmować doktora w takich śmieciach!

Chodziło jej o tego doktora głównie, nie o ratunek dla ojca.

Franek, uszczęśliwiony, że mu się zdarzyła gratka użycia szkapy, zaprzągł co tchu siwego i pojechał.

Chylecki był to nadworny felczer w Morzelanach, człowiek młody, jak Marynia twierdziła jedyny w całej okolicy kawaler, z którym „było

o czem pomówić"; „chłopiec do rzeczy" — mówiła o nim znowu Flora.

Około południa przyjechał doktor, przywiózł z sobą bańki, tym jednym środkiem głównie szafował, a cała jego sztuka polegała znowu na tem, gdzie bańki postawić i ile. Ponieważ wynagrodzenie liczył sobie od każdej bańki, przeto stawiał ich zwykle wiele.

Zanim obejrzał chorego, ucałował ręce Flory i panien, a rączkę Maryni dłużej i ze szczególnym wdziękiem przyciskał do ust, ozdobionych białobonld wąsikami.

Po przywitaniu z paniami, wszczęła się dłuższa rozmowa, do której bogatego wątku dostarczyło wyrażenie Flory.

— Pan doktor na nas nie łaskaw.

Marynia to mrużąc oczyma, to zawracając, powiedziała:

— Tam się bywa, dokąd serce ciągnie.

Na to Chylecki odparł, że gdyby szedł za głosem serca, musianoby go „z pewnego domu" w Malwiczach przemocą wyrzucać. Wszystkie się domyśliły, że o ich domu mówił i panny skromnie spuściły oczy.

Terenia wyrwała się po chwili milczenia:

— Jaki z pana komplemencista!

Za to ją później Marynia wyłajała mówiąc: „Dziecinna jesteś; nic się w takim razie nie odpowiada!" Przytem przytoczyła różne popodobne wypadki w domu cioci Calewiczowej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Nowe książki.

Jan Witort: Zarysy prawa zwyczajowego ludu litewskiego. We Lwowie. Nakładem „Towarzystwa Ludoznawczego". 1898.

Rozprawa p. Witorta jest jedyną dotychczas tego rodzaju w polskiej literaturze naukowej; autor — opierając się na autopsji, wyrokach sądów gminnych i innych t. p. niepodejrzanej wartości źródłach — kreśli pojęcia prawne ludu litewskiego i oparte na nich „prawo zwyczajowe". Takie „prawo zwyczajowe" — ongi podstawa wszystkich średniowiecznych praw stanowych — jest dzisiaj najwybitniejszym może wyrazem psychologii ludowej — t. j. tego niestety tak mało u nas znanego i nieobliczalnego czynnika w społeczeństwie, który niepostrzeżenie a jednak stale nadaje „narodowy" koloryt — nawet najbardziej kosmopolityzującym wpływom cywilizacyjnym. Pracę swą podzielił p. Witort na 3 główne części tj. wstęp, prawo rzeczowe i — umowy. Jestto podział dowolny i zbyt ogólny; często możnaby z poszczególnych rozdziałów porobić osobne „części"; zdaje się jednak, że autor — tak szerokich rozmiarów monografji swojej zakreślać nie chciał.

Po krótkim wstępie historycznym i historyczno prawnym — przechodzi p. W. zaraz do właściwego tematu, omawia w pierwszej części rozprawy przedewszystkiem przeżytki gospodarcze wśród ludu litewskiego. Rozumie się, że przeżytki te stanowią czynnik podstawowy „prawa zwyczajowego". Można je podzielić na czysto gospodarcze i gospodarczo-rodzinne. Pierwsze wykazują jeszcze cały szereg tzw. wspólnot rodzinnych, pochodzących z doby rodowo plemiennej i uznanych przez prawo rosyjskie, podobnie jak wielkoruskie obszczyny. Od obszczyn wyróżniają się jednak wspólnoty litewskie obszerną gospodarczą władzą „ojca" rodziny, któremu przysługuje nawet prawo alienacji wspólnoty. Obok tego prastarego przeżytku ekonomicznego istnieją przeżytki epoki feodalnej, osobliwie wśród licznej — do ludu zbliżonej szlachty zagonowej i rozumie się — indywidualizm zupełny gospodarczy, odpowiadający współczesnemu kapitalizmowi. Tak tedy u ludu litewskiego, jak zresztą i w wielu innych warstw „ludowych" odzwierciadla się w stosunkach doby bieżącej — cała gospodarcza historja narodów europejskich. To samo widzimy i w rodzinie. Obok pojęć współczesnych — chrześcijańskich, ściśle monogamicznych, — widzimy wszędzie tolerancję „wolnej miłości", względnie „życia na wiarę"; przewagę ojca w rodzinie i prawa spadkowego, a więc przeżytki patryarchatu i rodzin amonogamicznych — „gminnych". Wybitnym śladem tych dawniejszych etapów rozwoju jest „nadomnictwo", polegające na tem, że wdowa zamożna lub córka — jedynaczka staje się prawną lub faktyczną tylko żoną „nadomnika", tj. mężczyzny - gospodarza, który w dom wnosi posag i podobnie jak w pewnej odmianie rodziny t. zw. „punaluan" jak zależnym od swojej żony i pani. Wszystkie te dawniejsze i ważniejsze przeżytki gospodarczo-rodzinne decydują o pojęciach ludowych w zakresie prawa rzeczowego. Całe to prawo nie jest jednolitem i żadne wpływy kulturne nie są dość silne, ażeby np. wyjaśnić chłopu litewskiemu, że wszelka własność prywatna, o ile nie jest rezultatem pracy ludzkiej — nie jest „prawnie" własnością „boską" tj. wspólną wszystkich ludzi.

Najdokładniej omawia p. Witort „umowy", tj. raczej cały szereg aktów prawnych, — odnoszących się do ugód w różnych sprawach, względnie sporach prawnych pośród ludu litewskiego. Naturalnie, że znakomitem źródłem są w tym względzie dla autora — wyroki sądów wiejskich. I tutaj znajdujemy barwną mozajkę różnych wpływów. Przeżytki społeczno - prawne walczą o lepsze z dobą bieżącą. Po jednej stronie widzimy np. umowy pszczelnicze, wyjęte jakby dosłownie z starego — litewskiego prawa bartnego, a tuż obok widzimy, jak zanika dawny „patrjarchalny" stosunek wolnego „najmity" do „pana" (kapitalisty) — chłopa bogatego lub szlachcica — zupełnie na modłę nowożytną. W ślad za tem wyrasta rolna „kwestja społeczna", nacechowana nawet drobnymi strejkami żywiołowymi, tj. nie poprzedzonymi żadną „niepowołaną" (!) agitacją. W drobniejsze szczegóły, acz nader ważne i charakterystyczne nie wdaję się, a to tem mniej, że chciałbym, ażeby praca p. Witorta znana była ogółowi naszych uczonych, zajmujących się ludoznawstwem nie z sprawozdań i recenzji, ale tak — jak na to bezwarunkowo zasługuje z oryginału.

Dr. K. I. G.



Czcionkami »Drukarni Polskiej« we Lwowie. (Pasaż Hausmana)